

Rozmowa z **Profesorem Ireneuszem Białeckim**, socjologiem, kierownikiem Zakładu Ewaluacji i Studiów nad Edukacją w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego, współtwórcą Polskiego Badania Panelowego POLPAN.

Panie Profesorze, mam przygotowane pytania, ale też nie jestem tak nastawiona, żeby tylko ich się trzymać. Myślę, że trzeba powiedzieć wszystko, co jest ważne dla tej sprawy, dla historii POLPAN-u.

Kto wie dzisiaj, co jest ważne?

Chciałabym najpierw zapytać o początek POLPAN-u. Skąd się POLPAN „wziął”? Kto go wymyślił? Jak to się stało?

Ja z tą nazwą się zetknąłem późno, a kto wie, czy nie dopiero w zeszłym roku w Jabłonie. Nie wiem, od kiedy ona funkcjonuje. Natomiast miałem z tymi badaniami do czynienia pod nazwą „Struktura”, poczynając od „Struktury” 87/88. Byłem wtedy w zespole, którym kierował profesor Słomczyński, w tle – tak to pamiętam – był patronat profesora Wesołowskiego. W jakimś sensie była to kontynuacja badań, które były wcześniej prowadzone w zespole profesora Wesołowskiego, tak to rozumiałem. To znaczy, na przykład część osób z tamtego zespołu była również w tym, mieli też podobne podejście. Zresztą zawsze jak są ci sami ludzie, to podejście jest podobne. Pamiętam, że zespół konstruował się trochę na moich oczach.

Ten zespół miał bardzo dobrą opinię, właśnie dzięki Wesołowskiemu, dzięki Słomczyńskiemu, bo ci młodszy członkowie jeszcze nie mieli takiej wyrobionej pozycji. Był tam Bogdan Mach, Henryk Domański, Wojtek Zaborowski, Zbigniew Sawiński – te osoby zapamiętałem.

Pani Sikorska chyba też.

Joanna Sikorska oczywiście też.

Samo badanie też miało dobrą reputację. Z mojej perspektywy te osoby były trochę związane z Uniwersytetem Warszawskim i z profesorem Wesołowskim, a dobra reputacja wynikała po części z tego, że dobrą opinię miały badania łódzko-szczecińsko-koszalińskie, kojarzone z tym zespołem. To było trochę takie amerykańskie *know-how*, które zawsze wiązało się z osobą profesora Wesołowskiego, a może jeszcze bardziej Słomczyńskiego.

Z tego badania „Struktura” 87/88 ja wykorzystałem – wspólnie z profesorem Barbarą Heyns, Amerykanką – dane do analiz nierówności edukacyjnych¹.

Jednocześnie byłem zaangażowany w badanie „Polacy ‘80’”. To badanie miało problemy z finansowaniem, ponieważ było niezbyt dobrze widziane przez dyrekcję, czyli przez Kazimierza Doktora.

Moje przekonanie było takie, że Kazimierz Doktor popierał badanie „Struktura” i wspomagał je. Po pierwsze chyba dlatego, że nie miał wyjścia – finansowanie „Struktury” było wpisane w problem węzłowy². Po drugie, pewnie zależało mu na dobrym badaniu – i uważał, że to jest dobre badanie, obiektywne, bezstronne. Natomiast „Polaków” uważał z różnych powodów za badanie tendencyjne i „podkopujące”.

Podkopujące system?

Podkopujące też pozycję IFiS-u, ponieważ to badanie było wiązane z IFiS-em.

Dlaczego to badanie było niemile widziane?

Najprościej mówiąc dlatego, że to było w gruncie rzeczy badanie opinii, były tam pytania o to, kto popiera „Solidarność” – i wychodziło, że większość. Było też wiele innych ustaleń, które niemal wprost mogły służyć za argumenty wspierające opozycję lub podważające działania tzw. strony partyjno-rządowej. Zresztą, mimo że uznaję to badanie i zebrane w nim dane za bardzo wartościowe, to biorąc pod uwagę metodologię, próbę, uważam, że nie było tam takiej sofistykacji, czy takiej rzetelności statystycznej, jak w badaniu „Struktura” 87/88.

Mnie się wydaje, że przez parę osób, które były zaangażowane i tu, i tu, te dwa badania nie były postrzegane konkurencyjnie. Jednym z powodów mogło być to, że i tak badania z serii „Polacy” miały dofinansowania z różnych źródeł, więc tu nie było konkurencji o tę samą złotówkę. Ja byłem na początku dosyć silnie ulokowany w zespole „Polaków” i według mnie nie było tam takiego myślenia, że „Struktura” jest dobrze finansowana, ma wsparcie władzy, a „Polacy” nie, gdyż pieniądze idą na badania „Struktury”.

Pan był w zakładzie profesora Adamskiego, w którym realizowano „Polaków”?

Tak, to był Zakład Socjologii Interesów Grupowych, a wcześniej byłem w zakładzie profesora Sarapaty, zajmującym się badaniami struktury zawodowej.

A jak to się stało, że trafił Pan do ekipy realizującej „Strukturę”?

¹ Heyns, Barbara and Ireneusz Bialecki. 1993. 'Educational Inequalities in Postwar Poland.' Pp. 303–335 in Persistent Inequality. Changing Educational Attainment in Thirteen Countries, edited by Y. Shavit, H. P. Blossfeld. Boulder – San Francisco – Oxford: Westview Press.

² Problem węzłowy – element centralnego systemu planowania i finansowania badań naukowych w okresie PRL-u.

Kilka osób od profesora Adamskiego trafiło do tego zespołu, również Domański i Zaborowski. Wydaje mi się, że ja dostałem zaproszenie albo od profesora Wesołowskiego, albo od Słomczyńskiego.

Profesor Wesołowski był wtedy pracownikiem IFiS-u?

Jeśli dobrze pamiętam profesor Wesołowski był afiliowany w trzech instytucjach. W Instytucie Filozofii i Socjologii był szefem zakładu zajmującego się badaniami struktury społecznej, choć chyba za często się nie pokazywał w IFiS-ie. Był też zatrudniony na Uniwersytecie Warszawskim. I miał jakąś funkcję w tak zwanej „Marlenie”, czyli w Instytucie Marksizmu i Leninizmu³ przy KC czy KW PZPR. Na Chopina się to mieściło. Ja tam parę razy przychodziłem, żeby zobaczyć się z profesorem Wesołowskim. Ponieważ nigdy nie byłem członkiem partii, to miejsce wydawało mi się dosyć egzotyczne, jednak profesora Wesołowskiego wspominam zawsze z dobrej strony – i od strony merytorycznej, i od strony przyzwoitości. Zresztą na ogół obie te strony są ze sobą powiązane: jeśli czyjeś zasługi merytoryczne nie kończą się na tym, że sam dobrze pisze, to zwykle sprowadzają się do wspierania dobrych dla dyscypliny przedsięwzięć i ludzi z nimi związanych, a to już jest kwalifikacja moralna. Czy pozycje profesora Wesołowskiego miały jakieś znaczenie przy promowaniu „Struktury”? Mnie się wydaje, że tak, choć nie mam pewności. Profesor Wesołowski był też chyba kierownikiem problemu węzłowego.

Czyli fragmentu centralnego planu finansowania nauki.

Tak.

Jak podejmowano decyzje dotyczące uwzględnienia poszczególnych tematów w tych planach? Czy badacze mogli jakoś o to zabiegać, czy też było to kompletnie odgórne – po prostu przyszły pieniądze i trzeba było robić badanie?

Nie potrafię powiedzieć. Chociaż kiedyś nawet napisałem artykuł wiążący się z tym tematem, ale to był tekst teoretyczny. Pisałem, że takie decyzje były podejmowane przez konkretne osoby, „w uzgodnieniu” i „za porozumieniem”, ale bardzo często były półformalne. Ja miałem wrażenie, że na przykład profesor Wesołowski miał sporo do powiedzenia w sprawie włączenia badań do planu – i to dobrze. Dzięki temu m.in. polska socjologia była znacznie lepsza w owym czasie od czeskiej czy niemieckiej.

Niedawno oglądałem swoje dokumenty kadrowe w związku z ustalaniem ciągłości pracy, tam właśnie było wiele pism z taką notatką na marginesie: „po uzgodnieniu” albo „do wiadomości”. Była taka podwójna władza: władza partyjna, wpływ na decyzje merytoryczne jakiejś instytucji, i zarazem władza dyrektora instytutu, który podejmował decyzje w oparciu – mniej lub bardziej – o kryteria merytoryczne, na przykład wybierał to badanie, które się wydawało merytorycznie lepsze, albo miało

³ Instytut Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu, powołany w 1974 . uchwałą Biura Politycznego KC PZPR.

lepszy zespół. Takie decyzje wymagały „klepnięcia”, stąd były te formy „po uzgodnieniu”, „do wiadomości”, czy do „akceptującej wiadomości”. Sekretarz partyjny niby mógł się przeciwstawić. Czasami pewnie się przeciwstawił, ale jeżeli nie był to sekretarz z zewnętrznej organizacji partyjnej, z komitetu wojewódzkiego czy dzielnicowego, tylko z tego samego instytutu, na przykład z IFiS-u, to on był pewnie zawsze pracownikiem naukowym i też zwracał uwagę na tę stronę merytoryczną.

Trzeba też pamiętać o specyficznej autonomii i „logice” takich przedsięwzięć badawczych. Niezależnie od nadanych ogólnie etykietek proces badawczy ma swoją autonomię zależną także od osobowości badacza, jego lektur, sposobu definiowania podstawowych pojęć i zwykle wynik jest inny od zakładanego w problemie węzłowym.

To są takie moje teorie. Natomiast jak tutaj było – jak to badanie weszło do problemu węzłowego i jak otrzymało finansowanie – nie mam pojęcia. Wyobrażam sobie, że to mogła być zasługa profesora Wesołowskiego. Ale to są tylko domysły, ja byłem raczej w takim zewnętrznym kręgu jeśli chodzi o te sprawy. Nie tylko dlatego, że nigdy nie byłem partyjny.

Słyszałam taką hipotezę, że przekazanie pieniędzy na „Strukturę” mogło się wiązać z dążeniem do rozbicia zakładu profesora Adamskiego, ze względu na „niepoprawność polityczną” badania „Polacy”.

Jeżeli mnie Pani pyta o mój pogląd, to nie wiem, nie mam danych. Mnie się wydaje, że po pierwsze profesor Adamski nie miał szans na pieniądze z tego problemu węzłowego. Ja pamiętam tylko kilka rozmów z Kazimierzem Doktorem, takich pół-merytorycznych, w których on tłumaczył, że „Struktura” jest badaniem prawdziwie naukowym, że społeczeństwo trzeba „pomierzyć” – zapamiętałem to jego sformułowanie – a „Polacy” to jest taka „lewizna” metodologiczna, coś w tym rodzaju. Z drugiej strony w badanie „Polacy” było zaangażowanych dwóch czy trzech jego ulubionych pracowników: Lena Konarska-Bobińska, Andrzej Rychard. Nie pamiętam, żeby Doktor publicznie, wprost wypowiadał się negatywnie o „Polakach”, albo mówił, że to może nam na przykład zaszkodzić. Jeśli chodzi o badania „Polacy” myślę – tak zapamiętałem – że Kazimierz Doktor oficjalnie akceptował te badania, bo musiał liczyć się ze środowiskiem. Jeśli robił trudności, to wskazywał na nakazy „z góry”. Czy sam z siebie utrudniał prowadzenie tych badań? Nie wiem, choć było dużo takich opinii. Czy korzystało na tym badanie POLPAN? Nie potrafię powiedzieć. Zapamiętałem tylko, że w zespole „Polacy” nie dostrzegałem żadnej „ansy”, żadnego poczucia, że wiedzie nam się gorzej z tego właśnie powodu, że jakieś apanaże, jakieś zasoby, które mogliśmy otrzymać szły na badanie POLPAN.

Jeśli chodzi o ludzi zajmujących wtedy stanowiska kierownicze, ich pozycja w nauce zależała od zwierzchników, od akceptacji strony partyjnej. Z drugiej strony wszyscy oni byli bardzo silnie osadzeni w środowisku kolegów naukowców, które było zdecydowanie „anty”.

Czyli byli na rozdrożu.

Tak, tak. Dobrze sobie zdawali sprawę, że wiele profitów idzie po linii władzy, wiąże się z oficjalnie przyznawanymi instytucji środkami, ale też wiedzieli, że wiele korzyści zależy od akceptacji środowiska – publikacje, rekomendacje, w tym zagraniczne. Wtedy bardzo ważną sprawą były wyjazdy i kontakty zagraniczne, to się bardzo liczyło i wspomagało karierę. Więc dyrektor i wiele innych osób zdawało sobie sprawę z podwójnego uwikłania czy uwarunkowania własnej pozycji, statusu naukowego. Neutralność była w porządku, ale kto za mocno pozytywnie wyrażał się o ustroju, czy o systemie, był spalony w środowisku. I gorzej na tym wychodził, niż na tamtych profitach. W owym czasie w środowisku warszawskim coraz trudniej było kierownikom nauki zachować ową pozycję „półkolaborantów-półwalenrodów”. Po wprowadzeniu stanu wojennego było to właściwie niemożliwe. Pozycja kierownika zależała nie tylko od mianowania, ale i od pozycji naukowej, merytorycznej w środowisku. Zresztą wiele decyzji w nauce, także chyba w IFiS podejmowano kolegialnie, na radach naukowych. Dotyczyło to także programu badań i podziału pieniędzy.

Gdy nastał stan wojenny, mnie nie było w Polsce, wyjechałem do Anglii na sypendium British Academy. Słyszałem z drugiej ręki taką anegdotę: Władysław Adamski był wtedy dyrektorem Instytutu, wybranym przez pracowników. Aktyw solidarnościowy IFiS-u zdecydował o strajku. Adamski wyszedł z pracy, ale stał parę domów dalej. Po strajkowiczów przyjechały jakieś suki, zapakowano ich i wywieziono na komendę, puszczając potem po przesłuchaniach. Ktoś polecił do Adamskiego: panie dyrektorze, co robić? Ogłosiliśmy strajk, a tu teraz przyjechało ZOMO. A profesor Adamski odpowiedział: jutro będzie nowy dyrektor, to wam powie. Rozumiał, że nie może się utrzymać w takiej sytuacji. To właśnie było typowo podwójne położenie. On był w jakimś sensie, w sensie regulacji służbowych, reprezentantem władz Akademii i „góry”, która wprowadziła stan wojenny. Z urzędu nie mógł popierać strajku, ale też trudno mu się było przeciwstawiać temu, co organizowali jego koledzy, przyjaciele, ci którzy go wybierali. Więc tak się zachował – w sumie, w moim przekonaniu, porządnie. Potem dyrektorem Instytutu został Kazimierz Doktor i był to dyrektor komisaryczny, został mianowany, a nie wybrany.

Wracając do pierwszego badania, do „Struktury”, chciałabym zapytać, jak Pan wspomina pracę nad kwestionariuszem? Jak to wyglądało, jak było zorganizowane? Co było w tej pracy nowego, co było najtrudniejsze? Czego trzeba było się nauczyć?

Wyraźnie widziałem inny styl pracy i mocną rolę Słomczyńskiego, mocną i pozytywną. On przygotował – jeśli dobrze pamiętam – parę tekstów, które przedstawiały tę koncepcję. Maciek Słomczyński się w ogóle prezentuje bardzo dobrze jako naukowiec – to jest nie tylko sprawa merytorycznej zawartości jego tekstów i wypowiedzi, ale też ekspresji: sposób mówienia i prezentacji jest bardzo logiczny, widoczne jest skupienie, precyzja i sugestywność, co robi dobre wrażenie. To zwróciło moją uwagę. Obowiązywała ścisła dyscyplina merytoryczna i metodologiczna, do której ja nie byłem przyzwyczajony. Metodologiczno-statystyczne zaplecze badania było bardzo dobre – chodzi o dobór próby, o modele, hipotezy, wiązanie ich z koncepcjami struktury społecznej. Także klasyfikacja zawodów i wykształcenia były przygotowane przez Słomczyńskiego z bardzo rozbudowanym uzasadnieniem. To wszystko robiło na mnie duże i dobre wrażenie, mimo że ja akurat nie byłem wielkim zwolennikiem koncepcji struktury klasowo-warstwowej. Wtedy chyba się też pierwszy raz zetknąłem z Bogdanem Machem. Domańskiego i Zaborowskiego znałem wcześniej. Widać było, że z tym badaniem związane są wartościowe osoby, o dobrym przygotowaniu teoretycznym i metodologicznym.

Jak w praktyce wyglądała praca? Czy odbywały się regularne spotkania?

Jeśli dobrze pamiętam, to było przynajmniej kilka – albo i więcej – takich wprowadzających spotkań. Czy one były regularne – nie pamiętam, wydaje mi się, że w okresach pracy nad kwestionariuszem i przygotowania danych – tak. Nie mam na twardym dysku notatek, z których by się dało to wywnioskować. Wtedy jeszcze nie było przesyłania tekstów mailem.

Czy był w użyciu komputer?

W fazie przygotowania projektu „Struktury” – jeszcze nie. Ja się nauczyłem posługiwać komputerem, jak wyjechałem do Stanów 1985 roku. Tam nawet nie było Worda, tylko Word Perfect – taki edytor – i jakaś bardzo wstępna wersja SPSS. Pod koniec lat 80. komputer już był w użyciu, ale oczywiście nie było maila. Ja swoje konto i adres uzyskałem chyba dopiero jak przeszedłem na Uniwersytet, w tak zwanym CIUW-ie, czyli Centrum Informatycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Gdy odchodziłem z IFiS-u około roku 1992, to obliczeniami zajmowały się wtedy osoby z pracowni, którą kierowała pani Stasia Walkowska, bardzo sympatyczna osoba. Było to robione na takich perforowanych kartach. Wcześniejsze pliki czy zbiory danych musiały występować już na twardych dyskach, ale obliczeniami w ramach badania „Polacy”, a chyba także „Struktury” 87/88, zajmowała się pani Walkowska. Szło się do hali maszyn i składało u niej zamówienia, na przykład na korelacje, na tabele krzyżowe. Ja mój pierwszy zbiór danych, który obrabiałem w programie SPSS, mam zapisany na twardym dysku pod datą marzec 1990. To właśnie dane „Struktura 88” (obecnie POLPAN). Przekazanie zbioru danych badaczowi to bardzo ważny krok wprzód w opracowywaniu danych, w możliwości pracy na zbiorze

danych. Zupełnie inaczej myśli się o zbiorze danych, sprawdza rozkłady, kiedy ma się ten zbiór u siebie, widzi wszystkie liczby i w każdej chwili można dokonać obliczeń, jakichś operacji na tych liczbach.

Ta pracownia była w IFiS-ie, w Pałacu Staszica?

Tak, Pani Walkowska pracowała w Pałacu Staszica, razem ze swoim zespołem, złożonym z trzech – czterech pań. W każdym razie obliczenia, które ja zamawiałem, były tam robione.

Jak to się stało, że POLPAN stał się badaniem panelowym? O ile wiem, nie był zaplanowany jako takie badanie.

Nie potrafię powiedzieć. Kiedy przygotowywano powtórzenie badania w 1993 roku, ja nie byłem już pracownikiem IFiS-u. Zostałem zaproszony do współpracy i uczestniczyłem w kilku spotkaniach, ale później moje zaangażowanie zmniejszyło się. Miałem wtedy bardzo dużo pracy, przygotowywałem raport związany z przeglądem polskiej edukacji przez OECD, uczestniczyłem też w badaniu dotyczącym alfabetyzmu funkcjonalnego, także prowadzonym przez OECD.

Czy wtedy – w 1993 roku – już się myślało, że to będzie panel? Czy raczej nastawienie było takie: „powtórzmy badanie, zróbmy je drugi raz, bo zmienił się system”?

Chyba było takie myślenie. Bo wtedy każdemu nowemu projektowi towarzyszyło takie myślenie: zobaczmy, co się zmieniło. Ale ja rzeczywiście jestem outsiderem i jeśli miałbym być nazywany „współtwórcą badania”, to byłoby to określenie na wyrost. Krysia Janicka czy Bogdan Mach wiedzieliby lepiej. Mnie się wydaje, że były takie odwołania. Dla każdego rasowego socjologa – a w tym zespole paru takich jest, poczynając od Słomczyńskiego – możliwość powtórzenia jest straszną gratką, zwłaszcza jeżeli jest się związanym z danym badaniem. Ja kiedyś także odczułem smak czy pokusę tej możliwości: w badaniu „Polacy” znaczna część pytań została powtórzona w kolejnych edycjach, chociaż – w sumie – w zbyt krótkim czasie, by zidentyfikować trendy. Sprawdzać i powtarzać jest dla socjologa rzeczą bardzo pociągającą, zwłaszcza dla takiej rasy socjologów jak Słomczyński, Domański czy Krysia Janicka. Nie umiem powiedzieć, kiedy powstała idea panelu, ale wydaje mi się, że to się troszkę narzucało samo – takie duże, dobre, metodologicznie dopracowane badania. Tak mało jest informacji zbieranych w sposób ciągły, tak mało jest możliwości dostępu do dużego zbioru danych, do tych samych grup czy prób.

Czyli ten pomysł musiał się pojawić w sposób naturalny?

Moim zdaniem tak.

Jak Pan Profesor widzi przyszłość POLPAN-u? Minęło 25 lat, niektóre osoby, które zaczynały jako młodzi respondenci, teraz są już na emeryturze. Co dalej?

Będę mówił szczerze: badanie jest bardzo atrakcyjne i dobrze wykonane. W moim przekonaniu dane nie były nigdy w wystarczającym stopniu wykorzystywane, ale jest to ogromnie wartościowy zbiór danych. Badanie ma bardzo dużą wartość i zespół również. Nie mówię o sobie. Więc ja bym chciał, żeby to trwało. Chciałbym, żeby się na tym wychowywały młodsze pokolenia. Uważam – ale może mam złe rozeznanie – że socjologia się dość mocno rozmywa, szereg lepiej zdefiniowanych paradygmatów zanika. Poszerza się zakres tematów, ale maleje liczba studiów pogłębionych, tworzących postęp liniowy dyscypliny. Utrzymuje się cały czas paradygmat socjologii krytycznej, socjologii jakościowej. Prestiż socjologii ilościowej – na dobrym poziomie – zanika. Zmieniła się rola czasopism, które kiedyś bardziej dyscyplinowały autorów od strony merytorycznej, były wzorem, opublikowanie w nich tekstu stanowiło cel aspiracji. Czasopisma tworzyły zbiór kryteriów, które podnosiły poziom merytoryczny. Teraz bardzo wiele działań kończy się na poziomie raportu, który jest taki pół-napisany, pół-nienapisany, później jakieś tabele się tu i ówdzie ukazują, ale bez dobrej kontroli czy analiz są po prostu tylko tabelami. W tej sytuacji taki zbiór danych jak POLPAN i taka powtarzalność tworzą bardzo dobre podstawy do utrzymywania standardów, do podtrzymywania paradygmatu. Dobrze jest, jak jest kilka paradygmatów w socjologii, jak jest pewna szkoła myślenia, są w miarę dobrze zdefiniowane standardy i kryteria, które prowadzą w stronę liniowego rozwoju dyscypliny. Nie wiem wprawdzie, czy socjologia może być taką liniowo rozwijającą się dyscypliną.

Teraz jest według mnie za duża interdyscyplinarność, krzyżowanie się podejść, perspektyw. Z jednej strony są specjalizujące się języki i retoryki, tworzą się takie nisze prolemowo-metodologiczne, a z drugiej strony bardzo pochwalana jest naturalna skłonność do wykraczania poza nie; interdyscyplinarność. Ktoś pisze, że posługuje się metodą triangulacji i wtedy już pisze wszystko, co mu się wydaje i nie wydaje. To rozbija socjologię i właściwie trochę przypomina ona Internet, w którym jest wszystko. Uważam, że rolą socjologa – pracownika akademickiego jest sprawienie, żeby studenci widzieli różnicę między Kowalskim, Kopernikiem a Kantem, chociaż każdy z nich pewnie figuruje na dobrych i podobnych prawach w Wikipedii.

Teraz często powtarza się, że żyjemy w społeczeństwie opartym na wiedzy. Media przesycone są ekspertyzami i komentarzami zwłaszcza psychologów, ale też socjologów i politologów. Wiele z tych komentarzy w gruncie rzeczy zafałszowuje obraz świata, a w każdym razie nie rozjaśnia go. W myśleniu socjologa bardziej obecne powinno być przekonanie, że wiele sądów, opinii i problemów społecznych można sformułować jako zagadnienia empiryczne, badalne i weryfikowalne. POLPAN to badanie empiryczne – uczy takiego myślenia. Jednak mimo strony internetowej, wydaje mi się, że można by je lepiej wykorzystać.

Mówi Pan o wykorzystaniu wyników, o artykułach naukowych? Czy też o przenikaniu wiedzy o badaniu i wniosków do świadomości publicznej?

O obu tych rzeczach. Artykuły na pewno powstają, bo w zespole jest dużo osób dobrych i piszących. Ale od strony PR-u chyba pożytek z tego jest niewielki, prawda? A czy danych i wiedzy z badania nie można lepiej przekładać na wiedzę stosowaną, taką którą wykorzystuje się w sposób bardziej bezpośredni w debatach o nierównościach, wykluczeniu, biedzie, strategii rozwoju społeczeństwa?

Wydaje się, że na przykład „Diagnoza Społeczna” jest dużo bardziej znana od POLPAN-u. Niedawno w „Polityce” ukazał się wywiad z profesorem Słomczyńskim i z profesor Krystyną Janicką, więc może przyczyni się to trochę do upowszechnienia wiedzy o POLPAN-ie.

Wie Pani, to jest też sprawa osobowości. Maciek jest powściągliwy, w takim korzystnym znaczeniu tego słowa. Mówi: to są wyniki. Jest może zbyt powściągliwy, jeżeli chodzi o interpretacje. Autorzy „Diagnozy” – zdarzyło mi się słyszeć – w oparciu o swoje badania prognozują wyniki przyszłych wyborów.

Trzeba by pomyśleć o rozsądnej strategii wykorzystania tego badania. Ja jestem za daleko od tych spraw teraz, to jest moja strata. Nie powinienem o tych rzeczach mówić, póki na przykład nie przeczytam wywiadu w „Polityce” i dokładnie nie przestudiuję strony POLPAN-u.

Tak na marginesie: współpracuję z wydziałem, który merytorycznie nie jest za bardzo skoncentrowany, zainteresowania naukowe pracowników są nieraz bardzo rozbieżne. Jest tam jedna młoda osoba, która ma dobrą opinię – że pisze dużo merytorycznych, dobrych tekstów. Kiedyś zapytałam o nią jednego z wydziałowych VIP-ów: podobno taka strasznie dobra? No tak, tak. A co napisała? Cisza. Zapytałam drugą osobę i reakcja była podobna. Mimo wszystko IFiS był bardziej skupiony i czytający się nawzajem. Ale jeżeli ktoś się zajmuje pół-etnografią, a ktoś inny Holocaustem, to trudno to wszystko przeczytać. Lepiej śledzić swój wąski sektor. Z jednej strony. A z drugiej strony trzeba też pamiętać, że jest teraz zwielokrotniona produkcja naukowa. Czytałem kiedyś o tym – to są zastraszające cyfry. W latach 80 i 90. w Stanach Zjednoczonych ukazywało się – powiedzmy – tysiąc artykułów rocznie w naukach społecznych. Teraz jest to kilkadziesiąt tysięcy. Zupełnie nie pamiętam danych, liczb, ale chodzi o proporcje. Naprawdę. Czy ktoś to czyta i kto czyta – nie wiadomo.

I wszystko albo prawie wszystko dostępne w Internecie.

Właśnie. Tych różnych rzeczy nie można czytać tak samo, bo one mają różny poziom. Zresztą często są gorzej pisane. Nie wiem, czy na to ma wpływ parametryzacja, czy coś innego. I to też jest powodem, że dyscyplina się trochę „rozłazi”, paradygmat rozmywa. To mogłoby być – i częściowo pewnie jest – naprawiane przez dobre czasopisma, dotyczące niektórych obszarów, o czym już mówiłem.

Czy z tego doświadczenia, związanego ze „Strukturą”, a potem POLPAN-em, wynikło coś, co warto byłoby przekazać osobom, które dopiero zaczynają karierę naukową i zamierzają się zajmować tego typu badaniami? Czy jest coś takiego, co warto, żeby wiedzieli?

Kultura merytoryczna i metodologiczna. Przede wszystkim nawet powiedziałbym, że kultura merytoryczna w podejściu do badań, do danych.

To pewnie ciężko jest przekazać słowami.

Po angielsku jest dobre określenie: *learning by doing*. Tego się nabiera, uczestnicząc w takich przedsięwzięciach.

A gdyby spróbować to przełożyć na jakieś wskazówki?

Trzeba traktować dane z powagą. Trzeba wiedzieć, że jak wyszło 3, to wyszło 3, i ile rzeczywiście można na tej podstawie powiedzieć, jakie zrobić odniesienia do teorii, jak się doszukiwać związków przyczynowych, jak sytuacje kohortowe wpływają na wyniki – że to nie są zmiany. W innych zespołach, w których uczestniczyłem, nie było takiej kultury. Ja mam zresztą stosunek dwoisty do tego. Z jednej strony kształtowanie takich postaw, jakie mogły się formować przy badaniu „Struktura”, a potem przy POLPAN-ie, ma bardzo dużą wartość. A z drugiej strony uważam też, że można być dobrym socjologiem bez takiej kultury, mając słabsze zaplecze empiryczne, słabszą kulturę empiryczną. Bez tego też można mówić prawdziwe rzeczy o społeczeństwie na podstawie danych i badań, jak się ma „nosa”, zdrowy rozum, dobrze i rozsądnie interpretuje się dane. Ja zajmowałem się edukacją i zawsze na przykład występowały korelacje między wynikiem w teście a liczbą książek w domu. Ale to nie znaczy, że jak się dokupi książek, to wynik w teście się poprawi. Jednak za korelacją testu z liczbą książek można doszukiwać się pewnych związków przyczynowych. Trzeba też pamiętać, że w jednych krajach trzyma się książki w domu, a w innych nie, ale czyta się tyle samo. Albo jeśli po 10 latach zmienia się obraz czytelnictwa, to może to po prostu znaczyć, że w kolejnym pokoleniu jest już zupełnie inaczej, a w poprzednim nic się nie zmieniło, zmienił się tylko rozkład pokoleń. Trzeba i od tej strony patrzeć, jeżeli później się szuka, co wpłynęło na zmianę wyników.

Mam jeszcze pytanie dotyczące respondentów, bo chciałabym, żeby te wywiady znalazły się na stronie internetowej, która jest dostępna zarówno dla naukowców, jak i dla respondentów. Czy Pan chciałby może coś przekazać respondentom? Coś im powiedzieć?

Nie wiem w tej chwili, choć to bardzo ważne pytanie. Może udałoby się sformułować kilka wniosków i ustaleń interesujących dla nich? Zwłaszcza dla tych, którzy uczestniczą najdłużej w badaniu. To historia pokolenia, to coś jak strona internetowa „nasza klasa”, choć anonimowa. Można też spekulować, że dziś już nic w internecie nie zginie. Jest natomiast nadmiar informacji, także w bazach

danych socjologicznych. Co będzie z tymi danymi za 20, 50 lat? Czy ktoś sięgnie do tych danych? Do których i po co; czego będzie chciał się dowiedzieć?

Bardzo Panu dziękuję.

*rozmawiała Danuta Życzyńska-Ciołek
6 czerwca 2013 r.*